

Maria RESTERNA

CY KA DEL KA

Chcę odnaleźć siebie...
Nie, ja to muszę zrobić!



Maria RESTERNA

CY KA DEL KA

 MANUFAKTURA
TEKSTÓW

[Kup książkę](#)

Redakcja
Krzysztof Koziołek

Korekta
Daniel Lesiewicz

Projekt okładki
Kamil Pietruczynek
www.kamilpietruczynik.pl

Na okładce wykorzystano fotografię
© Depositphotos.com/Drukarnia Chroma

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Maria Resterna 2016
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2016

www.manufakturetekstow.pl

Wydanie pierwsze
Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-944854-9-8

Druk i oprawa
TOTEM - Inowrocław

[Kup książkę](#)

*Dedykuję
mojemu Wydawcy*

Prolog

Mieszkanie tonie w półmroku dogasających świec. Dym jeszcze przez chwilę unosi się lekko w powietrzu. Kolacja jest już zimna, nieruszoną schowam zaraz do lodówki. Patrzę na butelkę wina, niepotrzebnie ją otworzyłam. Mogłam wypić choć kieliszek. Zjeść kawałek zapiekanki...

A ja czekam na niego... Żałosne... Żałosna... Żałosny... On.

Czarna kreseczka zegara odmierza uciekające sekundy. Te przeradzają się w minutę, dziesięć, dwadzieścia, godzinę, dwie...

Ile jeszcze mam czekać?

Ile razy mam przez to przechodzić?

Czy o to mi chodziło?

Rozdział 1

Lublinek, lipiec 2004 roku

Idę pełną dróżką. Mijam betonową twierdzę, którą zapomnienie ukryło pośród ziół i zielonych traw. Czas lubi zabawę w chowanego, kocha drażnić się z człowiekiem uzależnionym, osadzonym w linii mijających lat. Ja nie szukałam długo. Dziecięcy śmiech naprowadził mnie na właściwy trop. Zatrzymałam się. Przymknęłam oczy, nie myśląc o niczym, stałam przez chwilę, a pamięć sama odmalowała obrazy z dzieciństwa i młodości. Peł-

ne dźwięków, zapachów i barw. Trochę się przeraziłam. Wspominać z tkliwością przeszłość, to znaczy utracić nadzieję na lepszą przyszłość. Zawsze tak myślałam.

Jednak betonową twierdzę musiałam zobaczyć raz jeszcze. Pożegnać się z wolnością, swobodą i swawolą, zanim pochłonie mnie bez reszty dojrzałość. Nie chciałam zapominać miejsca, w którym byliśmy tacy szczęśliwi.

Powoli zbliżyłam się do betonowych płyt i studzienek. Nie mogłam oprzeć się uczuciu, że wciąż tu jesteśmy, bawimy się beztrasko.

– Krysia!... Znowu wszystko zepsułaś! – Marek wyskoczył jak oparzony ze studzienek. Oburzony podbiegł wtedy do mnie. Pamiętam, jakby to było wczoraj.

– Ale ja też chcę być rycerzem! – krzyknęłam.

– Nie możesz! Jesteś dziewczyną!

– No to co? – denerwowałam się. – Ja chcę być rycerzem!

– Ale dziewczyny nie były rycerzami, tylko księżniczkami. Siedziały w zamkach i czekały na powrót rycerzy dzielnie walczących z wrogiem – Marek był nieugięty.

Miałam łzy w oczach. Inna dziewczyna na moim miejscu byłaby zachwycona, mogąc być jedyną księżniczką wśród trzech rycerzy, ale nie ja. Najmniej odpowiadało mi bezczynne siedzenie. A właśnie taką rolę mi wyznaczono.

Rozejrzałam się wokoło. Minęło tyle dni, miesięcy i lat, a tutaj nic się nie zmieniło. Łąka i las trwały nieprzerwanie, jedynie Leniwa Struga zarosła chaszczami i dziś już prawie nikt nie pamiętał, że przed laty w tym miejscu wartko płynęła rzeczka. Kto by pomyślał, że cywilizacja oszczędzi ten zakątek? Mój zakątek.

Nikt nie ośmielił się zakłócać spokoju przyrody. Pozostały tylko betonowe płyty i studnie, jedyne ślady nieudanej próby działania człowieka.

Kocham to miejsce, skrawek mojego dzieciństwa. Część mnie samej, dziś już tak odległej, innej. Dobrze pamiętam, jak koło mój smutek i uspokajało po kłótniach z bratem. Chowało mnie przed światem, a właściwie nie przed światem, tylko przed ludźmi. Tutaj byłam wolna i nieskrępowana. Bez maski nakładanej dla tych, którzy kochali mnie po to, by ich zadawałać.

Za każdym razem, kiedy tu powracam, czuję wyraźnie, jak zielen bierze mnie w objęcia, zioła witają zapachami, a wiatr delikatnie owija, jak gdyby tulił mnie do swojej piersi. Czy to możliwe, by konary rosnących tu sosen szumiały do mnie wesoło, mówiąc: dzień dobry?

Nie widzę powodu, aby dzielić się moją miłością do tego miejsca z kimkolwiek. Bo miejsca nie mają już dla ludzi takiego znaczenia jak kiedyś. A może się mylę?

Zbliżyłam się do betonowej płyty i przycupnęłam na brzegu. Przymknęłam powieki... Gdy umysł opuściły wszelkie myśli, usłyszałam ciche: cyk... cyk... cyk... To, co było najbliższe memu sercu, znowu miałam szczęście poczuć. Cyk... Cyk... Cyk... Przez krótką chwilę mogłam dotknąć ducha przyrody. Cyk... Cyk... Cyk... Z pozoru otaczały mnie tylko trawa i piach, a tak naprawdę czułam puls ziemi. Cyk... Cyk... Cyk... Słyszałam, jak w pniach drzew rześko płynęły życiodajne soki. Cyk... Cyk... Cyk... Małeńkie owady koncertowały wyłącznie dla mnie, cykając radośnie. Cyk... Cyk... Cyk... Słońce grzało mnie mocno, próbując przedrzeć się przez zamknięte powieki.

Wtem otworzyłam je szeroko tak, jak otwiera się okno, by uwolnić pomieszczenie od zaduchu. W tej jednej chwili niebo poraziło mnie jasnością, jednak szybko wróciło do dawnego błękitu. Poczułam się jak w domu, tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Zawsze szukałam swojego miejsca na ziemi, a ono było tutaj! Wydawało mi się, że gdzieś tam czeka na mnie niesamowita przygoda, a tak naprawdę czekało na mnie życie. Czaiło się tuż za rogiem, by w dogodnym momencie objawić się w pełnej krasie. Dlaczego tak długo nie mogłam go znaleźć?... Zrobiło mi się wstyd, najzwyczajniej wstyd przed samą sobą.

Nagle ciepła dłoń dotknęła mojego ramienia. Obróciłam się.

– Tomek? – szepnęłam zaskoczona.

Jego oczy były jeszcze bardziej niebieskie niż przy naszym ostatnim spotkaniu. Poczułam skurcz w żołądku, serce podskoczyło mi do gardła z niewiadomych przyczyn i znowu zrobiło mi się wstyd, tylko tym razem z innego powodu. Jego twarz była twarzą dorosłego mężczyzny, ale głęboko w źrenicach dostrzegłam chłopca.

– Marek, Krysia będzie rycerzem – rzekł Tomek.

– Ale ona nie może – oponował mój brat. – Kogo mamy bronić, jeśli nikogo nie będzie w twierdzy?!
– Marek nie dawał za wygraną

– W podziemiach ukryty jest skarb, którego musimy bronić przed piratami. Rozumiesz? – Tomek już wtedy był niezłym dyplomatą. – Piraci są coraz bliżej, epidemia czarnej ospy dziesiątkuje rycerzy i potrzebujemy więcej mieczy do walki – przekonywał.

Pamiętam grymas niezadowolenia na twarzy Marka, jakby siedział obok mnie. Już wtedy rywalizowali

ze sobą. To Tomek zawsze przewodził zabawie, to on nią kierował. Miał niesamowitą wyobraźnię i zawsze wymyślał najlepsze scenariusze.

Teraz otoczył mnie ramieniem. Spojrzałam na niego, blond loki otaczały twarz pokrytą lekkim zarostem. Nie uśmiechał się, był poważny. Zapragnęłam go. Sama nie wiem, dlaczego. W pierwszej chwili mnie to przerażało. Zawsze był tylko moim przyjacielem. Nie, kiedyś nim był. Odkąd przeprowadziłam się do Poznania, nasze kontakty stały się sporadyczne, aż prawie zanikły.

Objął mnie mocniej. Dłonią przesunął po pólnagich plecach. Przeszył mnie dreszcz. Może chciałam tylko rozładować rosnące we mnie napięcie, a to był dobry sposób? Oczy mu pociemniały. Pochłaniał mnie wzrokiem, nie byłam mu dłużna. Poglądziłam prawą dłońią po jego policzku. Lewą ręką objęłam kark. Ujął mnie w pól i przysunął blisko siebie tak, że nasze nosy stykały się czubkami. Oddychałam głęboko. Moja pierś dotykała jego torsu. Rozchyliłam usta, a on – gwałtowniej niż przypuszczałam – wsunął do nich język. Poruszał nim tam i z powrotem: najpierw szybko, potem zwolnił. Tak, jakby upewnił się, że jestem jego, że nie ucieknę, jak wtedy...

Drżącymi palcami rozpinałam jego koszulę, nie przerywając pocałunku. Wsunął ręce pod moją bluzkę i rozpiął stanik. Przejechał opuszkami palców po piersiach. Nie mocno, ale stanowczo.

– Ach! – westchnęłam ciężko. Piersi nabrzmiały, sutki stwardniały, na ciele pojawiła się gęsia skórka. Ściągnęłam bluzkę i razem ze stanikiem rzuciłam na trawę.

Nie należał do wysokich mężczyzn, ale pierś miał szeroką, pokrytą wijącymi się włoskami. – To, co lubię – pomyślałam i zaśmiałam się gardłowo.

Dłoni delikatnie ujął moją twarz, zębami gryzł dolną wargę. Dłonie zaczął zsuwać w dół, paznokciami drażniąc skórę. Zatrzymał je ponownie przy piersiach. Przyłożył kciuki do sutków, pozostałe palce do piersi i zaczął naciskać paznokciami.

Brakło mi tchu i cierpliwości. Podciągnęłam spodniczkę. Oplotłam go nogami, zaciskając uda wokół jego talii. Moje ręce powędrowały do paska jego spodni, rozpięły go. Bez namysłu rozsunęłam zamek. Byłam jego...

To, co zdarzyło się tego popołudnia, było nieoczekiwane i niesamowite. Tak, jakbyśmy odkryli siebie ponownie. Ale inaczej niż przed laty, a właściwie, to ja spojrzałam na niego innym wzrokiem niż wtedy, gdy byłam smarkatą nastolatką szukającą Bóg wie czego i Bóg wie gdzie. Kiedy było już po wszystkim, w jego ramionach poczułam się spełniona i bezpieczna.

– Tęskniłem... – szepnął mi do ucha. – Ale nie jak za przyjaciółką, tylko jak za kobietą...

– Wiem – odparłam równie cicho, by nie spłoszyć chwili.

– Przyszedłem, bo chciałem się przywitać.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? Nikomu nie mówiłam, dokąd idę.

– Zawsze uwielbiałaś to miejsce.

– To prawda. Pamiętam doskonale ten dzień, w którym mnie tu nakryłeś – uśmiechnęłam się delikatnie.

– To było w moje szesnaste urodziny.

– Była wiosna... Był maj... – dodał Tomek rozmarzonym głosem.

– Tak...

Siedziałam tu wówczas zamyślona wśród traw. Zapatrzona w niebo, słuchałam cykających świerszczy, a po policzkach spływały mi łzy. Na śmierć byłam zakochana w Jacku Piskorskim, który zamiast mnie wybrał rudą Ewkę. Mój świat runął, a ja chciałam umrzeć. Wtedy właśnie zjawił się Tomek, równie niespodziewanie jak dziś. Przytulił do siebie. A kiedy rozplakałam się na dobre, zaczął całować mokre od łez oczy, policzki i w końcu usta. Przerażona, wyrwałam mu się.

– Myślałam, że jesteś moim przyjacielem, a ty mnie chcesz wykorzystać! Świnia z ciebie! – krzyczałam wściekła. Pocałunek nie sprawił mi przykrości, wręcz przeciwnie. Jednak byłam oszołomiona – bo to był mój pierwszy prawdziwy pocałunek z chłopakiem – i tak strasznie zła – bo nie z tym, którego sama wybrałam.

Nawymyślałam mu wtedy ostro. Od parszywych drani, podstępnych gadów, nawet alfonsów i takich tam. Tak naprawdę uważałam go za przyjaciela, ale plotłam trzy po trzy, byle dać upust rozgoryczeniu.

Spoglądał na mnie zdziwiony, zmieszany, zawstydzony. Już nigdy potem nie pozwolił sobie na tego typu bliskość. Aż do teraz.

– Dlaczego dziś?... Po tylu latach?... Po tym jak cię?... – spojrzałam mu głęboko w oczy.

Niedopowiedzenie zawisło w powietrzu, ale on wiedział, o co pytam.

– Nie wiem... – odpowiedział. – To chyba pod wpływem spojrzenia, którym mnie obdarzyłaś.

– Spojrzenia?...

– Poczułem, że mnie pragniesz. Tak, jak ja zawsze ciebie pragnąłem... – wyszeptał.

Los lubi płatać figle. Jest przekornym chudzielcem chichoczącym za każdym razem, kiedy uda mu się pogmatwać czyjeś życie. Zawsze zakochiwałam się w wysokich brunetach o ciemnych oczach, pełnych ustach i szerokim torsie... Szalonych, pełnych energii pasjonatach. Tyle, że tacy mężczyźni nie zwracali na mnie uwagi, na moje nieszczęście najczęściej byli zapatrzeni w siebie. Jeśli już jakiś stanął na mojej drodze, to albo on nie chciał być ze mną, albo ja nie chciałam być z nim. Dzielnie więc opierałam się chichoczącemu chudzielcowi, aż w pewnym momencie los dał za wygraną. Tak przynajmniej mi się wydawało, bo nareszcie pokochał mnie ten, którego sama wybrałam. Mój wymarzony, idealny, wyśniony.

– Krysiu, musimy iść.

– Słucham? – zapytałam lekko rozmarzona.

– Już późno, wracajmy – odpowiedział.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Z każdą chwilą przybliżał się wieczór.

Rozdział 2

Kiedy wróciłam, mieszkanie dziadków tonęło w półmroku. Byłam zmęczona, trochę zła – nie wiedzieć czemu. Właściwie, to wiedziałam, dlaczego jestem wzburzona. Pozwoliłam ponieść się namiętności, a to nigdy nie wychodziło mi na dobre. Dostałam już tyle lekcji

od życia, ale nie wyciągnęłam z nich żadnych wniosków. Gubiłam się jak zawsze. Wszystko wokół mnie przytłaczało, gniotło, uwierało jak źle skrojona garsonka. W przedpokoju stała walizka, którą rzuciłam nie dbale, zanim wybiegłam na łąkę. Podniosłam ją i ruszyłam do mojego pokoju. Mijając kuchnię, zauważyłam Marka. Siedział, wlepiając oczy w ścianę.

– Marek? – spytałam cicho.

Obrócił głowę. W oczach miał łzy, płakał, a to nie zdarzało mu się często. W tej jednej chwili odniosłam wrażenie, że na całym świecie jesteśmy tylko my dwoje. Rozbitkowie na bezludnej wyspie.

– Przyjechałeś? – zadałam kolejne pytanie.

– Przed godziną... Wróciłem z Łagowa – odpowiedział. – Byłem u niego. A ty gdzie byłaś? – spytał z wyrzutem. – Poczul się gorzej... Gdybym nie wezwał lekarza, to nie wiem... – zawiesił głos.

– Jezu, nie pomyślałam! – przeraziłam się. – Czuł się dobrze. Poza tym była z nim ciocia Marysia... – broniłam się nieudolnie.

– Ty nigdy nie myślisz – burknął Marek. – Chyba że o sobie... Zresztą, nic nowego!

Chciałam już odejść, ale wtedy przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. Wypuściłam walizkę z rąk, objęłam go mocno. Po policzkach popłynęły mi łzy. Nie chciałam beczeć niczym rozpieszczony bachor, kiedy coś idzie nie po jego myśli.

Nie chciałam źle. Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem, potrzebowałam chwili samotności. Nie mogłam patrzeć, jak dziadek się męczy. Więc uciekłam, jak zwykle.

– Dzwonił twój mąż – rzucił Marek niespodziewanie.
– Marcin? – spytałam głupio.
– A masz innego męża? – uśmiechnął się ironicznie.
Spojrzałam na niego z wyrzutem, ale nie odniosło to większego skutku.
– Powiedz, co się dzieje? – Marek spytał już na poważnie.

– Naprawdę cię to interesuje? – odparłam. – Myślałam, że prędzej zapytasz, co na studiach niż o mojego męża.

– Kryśka, pytam poważnie – ściągnął groźnie brwi. Zawsze tak robił, gdy czymś się przejął. Pod tym względem nic a nic się nie zmieniło.

– Jak to w małżeństwie: raz jest dobrze, a raz źle – próbowałam go zbyć.

– Teraz jest źle? – drążył.

– Tak – uciełam zdawkowo.

Marcin był moim ideałem, księciem z bajki. Wysokim brunetem, w którego błękicie oczu można było tonąć. Szalonym i energicznym, dla którego nie istniała żadna granica. W jego mniemaniu wszystko można było osiągnąć, zdobyć, mieć, wystarczyło przeć naprzód. To właśnie pociągało mnie w nim najbardziej. Mógł wszystko, a i mnie samej rosły przy nim skrzydła i też wszystko mogłam. Dziwny mechanizm, ale działał sprawnie. Z nim byłam pełna życia i woli walki, czułam, że potrafię przenosić góry. I w końcu zaczęłam to robić.

Wtedy mnie zauważył. Najpierw był tylko wzorem do naśladowania, jednak szybko się zorientowałam, że przy nim drżą mi dłonie, a głos się łamie.

– Czy on cię krzywdzi? – zapytał niespokojnie Marek.
– Jeśli cię... – zawiesił głos.

– Nie... Nie używa wobec mnie przemocy fizycznej, jeśli o to ci chodzi – wyjaśniłam.

– Wiedziałem, że tak będzie – Marek nie wytrzymał. – Żeby w wieku dwudziestu lat wychodzić za męża, nie mając wykształcenia, zawodu, pracy? Kompletnie nic! To była największa głupota ze wszystkich, które uczyniłaś w swoim życiu, a nie było ich tak mało – grzmiał. – Zrobiłaś na złość dziadkowi, to teraz się męcz. Pamiętasz? Dopóki śmierć nas nie rozłączy – ironizował. Był totalnie wytrącony z równowagi. Usiadł przy stole i gapił się w ścianę, ale w jego oczach widziałam błyskawice.

– Jest jeszcze rozwód. Pamiętasz? – wypaliłam, nie chcąc być dłużna.

– Tak najłatwiej! Typowe dla ciebie zachowanie – prychnął. – Zobaczysz, swoimi wybrykami wpędzisz dziadka do grobu. Już jest ciężko chory. Nie wspominaj przy nim o kłopotach z Marcinem, bo wiesz, jaki jest impulsywny. Zdenerwowanie mogłoby pogorszyć jego stan – Marek nagle złagodniał.

– Dobrze – szepnęłam. – Przygotuję ci kolację.

*

Moja skórzana walizka – odziedziczona po mamie – wciąż stała na środku kuchni, a ja kroiliam chleb, przytłaczana ciszą panującą wokół mnie. Kromka za kromką padała na talerz, podczas gdy pętla na mojej szyi zaciskała się coraz mocniej.

Nagle przypomniało mi się popołudnie spędzone na łące w ramionach Tomka. Zrobiło mi się niedobrze, poczułam do siebie obrzydzenie. W tym jednym ułamku sekundy moje ciało stało mi się obce. Takie nie-

moje. Odnosiłam wrażenie, jakby uwięził mnie w nim okrutny czarnoksiężnik i sprawił, że to ciało ze mną w środku – nie ja sama – kochało się z moim przyjacielem z dzieciństwa. Wtem ogarnęło mnie wielkie znużenie, zmęczenie niemal zwałało z nóg. Ale to nie ciało było udręczone. To dusza. – Jak dobrze, że kiedyś umrę. Że kiedyś wreszcie przyjdzie koniec... – szepnęłam sama do siebie.

Gdy rzeczywistość męczyła mnie równie intensywnie jak dziś, często pojawiały się takie myśli. Śmierć innych od zawsze mnie przerażała. Na myśl, że znów mogłabym stracić kogoś bliskiego, aż drżałam, trzęsłam się jak w febrze. Tymczasem sama chciałam umrzeć. Byłoby strasznie, żyć wiecznie...

Kanapki były gotowe. Podałam je bratu w milczeniu, potem wzięłam walizkę i ruszyłam do drzwi.

– Ty nie będziesz jadła? – zdziwił się Marek.

– Nie – odparłam krótko. Nie byłam w stanie niczego przełknąć, prędzej bym się udławiła. Po chwili stanęłam w drzwiach mojego pokoju. Weszłam do środka, walizkę jak poprzednio zostawiając na środku pomieszczenia. Rzuciłam się na łóżko. Łzy – choć tak bardzo chciałam – nie popłynęły.

Po chwili zasnęłam. Sen nie należał do najłżejszych. Budziłam się kilka razy złana potem, półprzytomna, nie do końca świadoma, gdzie jestem. Niepewna, czy dręczące mnie mary na pewno są tylko snem.

*

Dzień – mimo wszystko – nadszedł zbyt szybko. Zupełnie nie byłam gotowa zmierzyć się z rzeczywistością. Ze snu zbudziły mnie ciepłe promienie grzejące twarz.

Podniosłam lewą powiekę tylko po to, by przez okno pokoju zobaczyć błękit nieba porany białymi obłokami.

– To takie irytujące! – rzuciłam sama do siebie i natychmiast nakryłam głowę kocem. Nie lubię takich dni: pogodnych i jasnych, podczas gdy ja mam problemy. Świat woła: życie jest piękne! a jabłko mego serca drąży robak wyrzutów sumienia. Czuję się wtedy jak kupa gnoju w oborze...

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. To był Marek. Rzuciłam okiem na zegarek stojący za szybą biblioteczki, była 9.55.

– Już wstaję! – krzyknęłam.

Drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry, słoneczko! – to jednak nie był Marek.

– Mogę wejść?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ciocia Marysia wtargnęła do pokoju, gwałtownie zamykając za sobą drzwi.

– Skarbeczku, spałaś w ubraniu?... Co się dzieje?... Gdzie Marek?... – jak zwykle wyrzucała z siebie słowa z ogromną prędkością.

– Nie ma go u siebie? – zdziwiłam się.

– Nie. Daj się ciotce uściskać! – szybko zmieniła temat. Przed jej duszeniem nie ma ratunku. Jest grubo po czterdziestce, a nadal ubiera się jak zbuntowana nastolatka. Wciąż przy tym powtarza, że czasy studenckie były najlepszymi w jej życiu. Nie znaczyło to, że przed sobą nie ma kolejnych wspaniałych lat, co zawsze dobitnie podkreślała. Pewnie dlatego została na uniwersytecie.

W sumie była z niej równa babka. Może dlatego sądziłam, że stanie po mojej stronie, gdy oznajmię rodzinie o moim ślubie z Marcinem.

To było cztery lata temu...

*

Wyrzałam przez okno, słońce grzało niemiłosiernie.

– Życie jest piękne! – krzyknęłam tak głośno, że bez wątpienia było mnie słychać w całej okolicy. – Cudny poranek – pomyślałam. Kocham takie dni, kiedy świat się do mnie śmieje, a ja jestem szczęśliwa! Otworzyłam drzwi pokoju, dobiegł mnie zapach pieczonego ciasta. Ruszyłam do kuchni, po której krzątała się już ciocia Marysia.

– Cześć ciociu! – przywitałam ją.

– Cześć złotko – odpowiedziała.

– Co pieczesz? – spytałam z niewinną miną.

– A jak myślisz? – odpowiedziała pytaniem.

– Tort czekoladowy? – strzeliłam palcami.

– Nie!

– Jak to: nie? Przecież dziś moje urodziny! – byłam zdziwiona.

– Piekę tort orzechowy.

– Cudownie! – wykrzyknęłam i cmoknęłam ją w policzek. – Wie ciocia, co?

– Nie.

– Jak ktoś ma urodzinki, to są dla niego upominki. Ale się zrymowało, ha! – jak zwykle byłam z siebie dumna.

– Niemożliwe, skromności ty moja! – ciocia uśmiechnęła się lekko.

– Ale dzisiaj to ja mam dla was prezent! – krzyknęłam. – Niespodziankę!

– Jaką? – była wyraźnie zaintrygowana.

– To w końcu niespodzianka, nie mogę zdradzić – powiedziałam z satysfakcją. – Powiem wam przy obiedzie – dodałam. Chwilę później cała w skowronkach biegłam już na łąkę. Tam, gdzie mogłam nacieszyć się pięknem świata i posłuchać moich cykadelek. Poczuć, jak pulsuje ziemia. Wyciszyć się, opanować emocje. Tamtej chwili pragnęłam podzielić się moim szczęściem z rodziną. Opowiedzieć, jakim cudownym mężczyzną jest Marcin. Przewidywałam negatywną reakcję dziadka, ale byłam pewna, że pozostali członkowie rodziny na pewno mnie poprą.

Relaksowałam się więc w ciszy i spokoju. Ten zakątek na skraju lasu, który wydawał się być tylko mój, nastawił mnie jeszcze radośniej do życia. Spojrzałam na zegarek. – Już trzecia! Zaraz obiad, spóźnię się! – pomyślałam.

Wbiegłam do domu zdyszana. Rodzinka była już w salonie i zasiadała do stołu. Oczywiście ja jak zwykle byłam spóźniona.

Dziadek spojrzał na mnie z surowością, bardziej udawaną niż prawdziwą. Mimo siedemdziesięciu lat jego włosy nadal były czarne, a siwych zwiastunów starości trzeba było ze świecą szukać.

Naprzeciwno niego zazwyczaj zasiadała babcia, ale odkąd odeszła, to miejsce przy stole zostawało puste. Po bokach miejsca zajęli już ciocia Marysia z mężem Piotrem i Marek. Przyjaciele byli zaproszeni na 17.00. Marcin też miał zjawić się o tej porze.

– Chciałam wam o czymś opowiedzieć. To w sumie jest niespodzianka – zaczęłam trochę niepewnie.

Ciocia Marysia uśmiechnęła się do mnie promiennie, a ja od razu nabrałam odwagi. Jak miałam przekonać się za kilka chwil, zupełnie bezpodstawnie.

Dziadek – jak to miał w zwyczaju – uniósł lewą brew.

– Już się boję – stwierdził głucho.

– Dziadku! To, o czym chcę wam powiedzieć, jest dla mnie bardzo ważne – wytłumaczyłam lekko zniecierpliwiona.

– Dziadku, dajmy jej powiedzieć – ciocia Marysia wzięła mnie w obronę.

– Wiecie, że mam chłopaka – zaczęłam. – Odkąd wróciłam do domu i się nie widzimy, dzwoni do mnie, piszemy do siebie mejle... Poznałam go na studiach. Nie jest stąd i chciałam, żebyście go poznali. Przyjedzie dzisiaj z Poznania... – zrobiłam pauzę, bo rodzinka spoglądała niepewnie na siebie.

– To rzeczywiście niespodzianka! – zdenerwował się dziadek. – Takich rzeczy w ten sposób się nie załatwia. Kończysz dziś dwadzieścia lat, a nadal postępujesz jak dziecko – wstał od stołu.

– Nie rozumiem, o co dziadkowi chodzi? Przecież to naturalne, że mam chłopaka i chcę go wam przedstawić! – broniłam się.

– Nie chodzi o to, że masz chłopaka, bo to faktycznie normalne – mówił dziadek. – Ale nie uprzedziłaś nas o jego przyjeździe.

– To o to są te pretensje?! – niemal krzyknęłam.

– Sama powiedziałaś, że jest z Poznania – zauważył dziadek. – To kawałek drogi, gdzie my go przenocuje-

my? Zaprosiłaś na swoje urodziny prawie połowę roku, a teraz jeszcze ten chłopiec?

– To nie jest chłopiec, tylko mężczyzna! Zaręczam, że sobie poradzi – próbowałam tłumaczyć.

– Krysiu, twój dziadek ma rację – do dyskusji przyłączył się Piotr, mąż cioci Marysi. – To mieszkanie nie jest duże. U nas będzie nocowało sześć osób, tutaj aż pięć.

– Siostrzyczko, jak zwykle zaszalałaś! – roześmiał się Marek.

Przygryzłam wargę, nie rozumiejąc, o co im chodzi? Myślałam, że zaraz się rozplączę, a przecież nawet nie dotarłam do najważniejszego! Nagle zaczęłam tracić całą odwagę, którą udało mi się zgromadzić.

– My chcemy być ze sobą! – krzyknęłam zdesperowana.

– Dobrze – powiedziała łagodnie ciocia Marysia. Podeszła do mnie. – Nam chodzi tylko o twoje dobro. Dziadek zdenerwował się trochę niepotrzebnie, ale o czymś takim powinnaś z nami porozmawiać wcześniej. To nie jest kolejny kolega, prawda? – spytała.

– Nie... – jęknęłam, myśląc, że nie tak to miało wszystko wyglądać.

– Tylko się nie unoś – wtrącił stanowczo dziadek.

– Co on studiuje? – spytała ciocia.

– To, co ja: archeologię – odpowiedziałam. Nabrałam powietrza w płuca i pomyślałam: teraz albo nigdy! – Właściwie on nie jest tylko moim chłopakiem – chciałam mieć to już za sobą. – Zamierzamy się pobrać!

– Ha, ha, ha! – Marek wybuchnął gromkim śmiechem.

Po minach pozostałych widziałam, że nie zamierzają mu wtórować.

– Dziecko, przecież znasz go zaledwie od kilku miesięcy... – dziadek złapał się za głowę. – Co ja mówię: tak naprawdę to ty w ogóle go nie znasz!... Poza tym, jak ty to sobie wyobrażasz?!... Gdzie będziecie mieszkać?... Z czego się utrzymacie?... Co ze studiami?! – z każdym kolejnym zdaniem podnosił głos. – Nie dacie sobie rady! Jesteś głupią smarkulą!!!

– Tak właściwie, to nie masz nic do gadania! Jestem pełnoletnia i mogę robić, co mi się żywnie podoba!

– wykrzyczałam mu prosto w twarz.

– Ja na to małżeństwo nigdy zgody nie dam! – stwierdził nagle.

– Nie musisz – odcięłam się błyskawicznie. – Wcale nie miałam zamiaru prosić o zgodę. Chciałam was tylko powiadomić. Podzielić się z wami moim szczęściem. Ciociu, ty mnie na pewno rozumiesz! – spojrzałam błagalnie w jej stronę.

– Serduszek, popełniasz wielki błąd... – ciocia Marysia westchnęła głęboko. – Zgadzam się z dziadkiem... Okres studiów jest okresem wolności, a ty chcesz rozpocząć już dorosłe życie?

– Myślałam, że będziesz po mojej stronie... – byłam autentycznie zdziwiona. – Widzę jednak, że wciąż trzymasz się tej samej gadki – dodałam uszczypliwie.

Wybiegłam z salonu i zamknęłam się w swoim pokoju. Siedziałam w nim, aż pojawili się pierwsi goście. Na pukania i prośby cioci Marysi i Marka nawet nie odpowiadałam.

*

– Krysiu, ja mówię do ciebie, a ty w ogóle nie reagujesz... – głos dobiegał z daleka. – Jak grochem o ścianę!

– Słucham? – byłam tak pogrążona we wspomnieniach, że dopiero teraz zobaczyłam ciocię siedzącą obok mnie na łóżku.

– Jesteś chora? – zaniepokoiła się.

– Skądże! – odpowiedziałam natychmiast. – Po prostu czuję, że to nie będzie mój najlepszy dzień.

– Tak od razu z góry zakładasz, że to twój zły dzień? – ciocia Marysia nie kryła irytacji.

– Ciociu, proszę – jęknęłam. – Nie dziś...

– Co: nie dziś? – obruszyła się. – Przecież jeszcze nic nie powiedziałam. A mogłabym – dodała, akcentując ostatnie słowo. – Szukam Marka, bo zadzwoniła do mnie jakaś Baśka.

– Baśka?... – zmarszczyłam brwi. – A to coś nowego... Ostatnio był z Olką... A czego chciała ta Baśka?

– Porozmawiać – odpowiedziała ciocia. – Krysiu, nie rozumiem jednego: dlaczego podał nasz numer telefonu?

Wzruszyłam obojętnie ramionami i obolała zwlekałam się z łóżka. Co mnie obchodzą miłosne podboje brata? W moje życie wchodzi z buciorami, ale jego to tajemnica. Uważa, że braterskim obowiązkiem jest bronić młodszą siostrzyczkę. Beznadziejny przypadek. To znaczy kocham go, ale czasem najchętniej bym go udusiła!

Teraz – za dnia – mogłam rozejrzeć się po moim starym pokoju. Dziadek nic tu nie zmienił. Ściany nadal były oklejone plakatami szalonych gwiazd rocka z początku lat 90. XX wieku. Meble porysowane scyzorykiem

ojca – tak, swego czasu byłam zbuntowaną nastolatką! Ta sama popielata wykładzina z tą samą plamą po kawie tuż obok łóżka. – Ten nawyk pozostał mi do dziś – zaśmiałam się w duchu na myśl, jak bardzo Marcin się denerwuje, kiedy stawiam przy kanapie kubek z herbatą. Boi się, że rozleję i zrobię plamę na dywanie. A przecież to nie byle jaki dywan! Marcin ma do niego stosunek emocjonalny. Przywiózł go z Turcji, w której prowadził prace badawcze, mało tego, był jedynym Polakiem w zespole. Kiedyś jego opowieści o podróżach i egzotycznych krajach mnie ekscytowały, dzisiaj odbieram je zupełnie inaczej.

– Moje miśki! – dopiero w tym momencie zauważyłam kolekcję pluszaków rozłożonych na szafie w idealnym porządku. – Nie wywaliłam ich? – zapytałam samą siebie.

– Nie – ciocia się uśmiechnęła. – Dałaś do wyrzucenia mnie. Pamiętam dokładnie, jak to było. Skończyłaś osiemnastkę i stwierdziłaś, że nie jesteś już dzieckiem, a twój pokój wygląda zbyt dziecinnie. Postanowiłaś pozbyć się wszystkiego, co miało pastelowy kolor.

– Ale co one tu robią?

– Nie wyrzuciłam miśków, tylko zapakowałam je w worek foliowy i schowałam do piwnicy. Jakiś czas temu robiłam w niej porządki i natknęłam się na tajemniczą paczuszkę. Wrzuciłam miśki do pralki i tyle – opowiadała. – Jesteś zła?

– Nie, wręcz przeciwnie! W dodatku nie potrafię tego wytłumaczyć – roześmiałam się.

– Kochanie, muszę już iść. Będziesz w domu?

– Tak, ciociu.

– O jedenastej pielęgniarka przyjdzie dziadkowi zrobić zastrzyk – ciocia Marysia sięgnęła po torebkę.
– Tak w ogóle to zajrzyj do niego – stanęła w drzwiach.
– Ciągłe się o ciebie dopytuje...

– Dobrze – obiecałam.

– Nie rób takiej miny, jakbyś szła na ścięcie – powiedziała ciocia z dezaprobatą. – Przecież on cię kocha.

– Tak, ale... – przygryzłam nerwowo wargę. – Nigdy nie pogodził się z moim ślubem...

– Bo nie może pojąć, dlaczego tak inteligentna dziewczyna, jak ty, wyszła za mąż wyłącznie na przekór rodzinie? – westchnęła. – To był zwykły bunt i nie wypieraj się. Taka jest prawda i obie o tym dobrze wiemy. Powiedz mi: jesteś szczęśliwa?

Obróciłam się tyłem, nie chciałam, by w moich oczach dostrzegła łzy.

– W razie czego jest jeszcze rozwód – ze wszystkich sił starałam się opanować drżenie w głosie.

– Owszem, ale tych czterech lat nie przekreślisz, ot tak sobie. Choćbyś chciała – mówiła cicho. – Bagaż doświadczeń pozostanie na całe życie i będziesz musiała zabrać go w każdą podróż. Pamiętaj o tym, słonko.

Nic nie odpowiedziałam. Głos ugrzązł mi w gardle. Ciocia wyszła, a w pokoju zapanowała głucha cisza. Po dłuższej chwili poczułam zapach świeżo zaparzonej kawy, a krótko potem usłyszałam głosy. Wstałam z łóżka, uchyliłam drzwi.

– Basia dzwoniła do nas – głos należał do cioci Marysi.

– Basia?... – to był Marek. – Zaraz, zaraz... Ta nauczycielka?

– Tak – potwierdziła ciocia.

Odważnie wkroczyłam do kuchni. Zerknęłam na Marka, podkrążone oczy pozwalały podejrzewać, że pewnie dopiero co wrócił z nocnej schadzki. Wyjęłam z szafki kubek z napisem: ŚMIERĆ TO TEŻ JAKAŚ ALTERNATYWA, jeszcze raz spojrzałam na brata. Marek jest szefem produkcji w fabryce kubków, szklanek i takich tam. Ostatnio napisy na tych pierwszych były coraz dziwniejsze. Z tego, co wiedziałam, brat też bawił się w wymyślanie podobnych haseł. Podejrzywałam, że ten konkretny projekt był jego autorstwa.

– Zadzwońisz do niej? – spytała ciocia, taksując go badawczym spojrzeniem.

– Nie wiem... Może – odrzekł sucho Marek.

– Jak to: może? – ciocia się zdenerwowała. – Co mam jej powiedzieć, jeśli znowu zadzwoni? I dlaczego dałeś jej nasz numer?

– Ciociu, strasznie boli mnie głowa, a zaraz jadę do pracy... – Marek burknął w odpowiedzi. – Daj mi w spokoju wypić kawę...

– Co się z tobą dzieje? – ciocia stała naprzeciwko niego, trzymając się rękoma pod boki. – Od jakiegoś czasu...

Marek siedział przy stole i zachowywał się tak, jakby w ogóle nie widział cioci, patrzył się tylko tępo przed siebie.

– Oboje jesteście sobie warci! – rzekła ciocia Marysia, obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

– Czym ją tak zdenerwowałaś? – spytał nagle.

– Ja? – zdziwiłam się ogromnie. – Kochany Mareczku, tym razem to ty nabroiłeś – nawet nie próbowałam

ukryć satysfakcji z tego, że tym razem to nie ja namieszałam. To było dziecinne, wiem, ale nie przeszkadzało mi. – Po co właściwie dałeś tej kobiecie numer cioci i wujka?

– Była taka upierdliwa... – mruknął. – Nie chciałem dawać numeru mojej komórki, bo by mnie zadreńczyła.

– W bambuko też nie pasowało ci ją zrobić, prawda? – świetnie się bawiłam kosztem brata. – Zawsze to jakieś wyjście awaryjne – dodałam już na poważnie.

Marek spojrzał na mój kubek. Roześmialiśmy się równocześnie.

Rozdział 3

Dłuższą chwilę stałam nieruchomo przed drzwiami prowadzącymi do pokoju dziadka. Wreszcie odważyłam się zapukać.

– Proszę – dobiegł cichy głos.

Weszłam do środka z duszą na ramieniu. Byłam przekonana, że dziadek powie coś w stylu: „Nie śpieszyło ci się do mnie. Wczoraj przyjechałaś, ale wszystko było ważniejsze niż ja”. Zawsze powtarzał: „Wszystko jest dla ciebie ważniejsze niż rodzina! Ja nie wiem, co ty masz w tej głowie? Chyba jakąś sieczkę!”. Mówił tak, gdy tracił panowanie nad sobą. Pamiętam dokładnie, pierwszy raz powiedział tak do mnie po śmierci babci, było akurat Boże Narodzenie:

– Jak mogłaś pójść na wigilię do obcych ludzi? Ten dzień spędza się w gronie rodzinnym! Wśród osób,

które cię kochają i którym zależy na tobie. A ty wolałaś spędzić ten wyjątkowy wieczór z koleżanką i jej rodziną? Żeby ciocia Marysia musiała po ciebie jechać? Co powiedziałaaby babcia?

– Babci już nie ma, więc nic nie powie – odcięłam się.

– Kryśka! – ryknął dziadek.

– Przestań! – nie byłam dłużna. – Bezustannie na kogoś krzyczysz! Zawsze przez ciebie ktoś płacze! Mam dość ciągłego smutku i napięcia panującego w tym domu! – rzuciłam mu prosto w twarz.

Dzielił nas stół obleczony wykrochmalonym obrusem, na którym bielił się opłatek.

– Sieczkę masz w głowie, a nie rozum! – dziadek był ogromnie wzburzony. Na jego szyi pojawiła się czerwona plama.

– Tato, proszę, uspokój się – wtrąciła ciocia.

– Marysiu, to ja cię proszę! Czy nie widzisz, na co pozwala sobie ta smarkula? Ona sobie nie uświadamia, czym jest żałoba. Chyba nie sądzisz, że będziemy świętować jak wróbelki na wiosnę?! – cedził dziadek.

A mnie krew gotowała się w żyłach! Sama sobie musiałam mocno ściągnąć wodze, bo byłam tak wściekła, że aż brakowało mi tchu. Początkowo mętlik w głowie uniemożliwiał mi wysłowienie się, ale w końcu wybuchnęłam:

– To ty sobie nie uświadamiasz, ale tego, jakie jest życie! – wrzasnęłam. Wtedy do głowy mi nie przyszło, że zwracam się do siedemdziesięcioletniego mężczyzny. Nie myślałam o tym, serce zalewała mi wielka gorycz.

– Zawsze tak jest, że ktoś odchodzi. Najpierw mama

i tata, teraz babcia! Taka jest kolej losu – rzuciłam kąśliwie. – I wiem, co znaczy żałoba. Całe życie noszę ją w sercu! Obawiam się, że to ty, dziadku, zapomniałeś, co ona oznacza.

Dziadek zacisnął pięści, widać było, że ostatkiem sił hamował narastające wzburzenie.

– Ja pielegnuję w sercu pamięć po ukochanych. A ty? – mówiłam dalej. – Twoje cierpienie jest największe, twój ból jest najważniejszy... A choć przez chwilę pomyślałeś, co my czujemy? Wszyscy chodzimy na paluszkach, żeby nie narazić się na twój gniew – wstrzymałam na chwilę głos. – Nikomu nie pozwalasz zbliżyć się do siebie. Dlaczego nie rozmawiasz z nami o babci? Dlaczego nie mówisz nam tego, co czujesz, tylko dusisz to w sobie, a kiedy nie wytrzymujesz, wyładowujesz się na nas? Nic ci nie pasuje... Dziwisz się, że nie chcę tu być? – wybiegłam z pokoju, trzaskając drzwiami. Miałam czternaście lat, a wydawało mi się, że dobiegam czterdziestki.

Na wspomnienie tamtego okresu mojego życia aż mną trzęsie. Nawet dziś trudno mi poukładać sobie w głowie niektóre wydarzenia z dzieciństwa. Wydawałoby się, że śmierć jest naturalnym końcem ludzkiego żywota. Dla kogo tak naprawdę jest tragedią? Dla umierającego czy jego najbliższych?... Widzę obraz mojej duszy umazanej żalem opuszczenia, bólem samotności, pustką, która została po części mnie pogrzebanej wraz ze zmarłym. Ułamka mnie, który jest już tylko przeszłością. Teraz mogę kochać jedynie wspomnienia. Co czują inni? Nie wiem... Za emocje innych nie odpowiadam, co więcej, nie chcę ich znać. Wystarczająco

często przerażają mnie własne, żebym miała się jeszcze przejmować cudzymi?

– Krysiu, przyjechałaś?... Kiedy?... – takie właśnie słowa usłyszałam z ust dziadka.

Poczułam łzy napływające do kątek oczu. Zdałam sobie bowiem sprawę, że musi być naprawdę źle, skoro nic nie wie o moim wczorajszym przyjeździe. Podeszłam do łóżka. Dziadek leżał szczelnie otulony kołdrą. Nie męczyłam go długo, posiedziałam przy nim, opowiedziałam o życiu, które wiodłam w Poznaniu, pomijając przy tym kilka szczegółów. Kiedyś byłam z nim bardzo szczera, ale z czasem musiałam się nauczyć omijać bardziej kontrowersyjne wątki. Był okres, kiedy podobne wybiegi były zbędne, niestety z wiekiem ludzie stają się coraz bardziej konserwatywni w poglądach, przerażają ich zmiany, których tempo jest wręcz zabójcze. Uszczelniają się więc jak tylko mogą, aby nic z nowości nie wyrzuciło ich życia na sam jego koniec.

Kiedy skończyłam, zaczął mówić dziadek, ale szybko zabrakło mu sił. Ujął moją dłoń w swoją i ścisnął, najmocniej jak tylko potrafił. Objęłam go ramionami i przytuliłam. Przez tych kilka sekund znów byłam jego małą wnuczką. Poczułam zapach wody kolońskiej, używanej przez niego, odkąd tylko sięgałam pamięcią. Ciepły ogolony policzek przywarł do mojej twarzy. Byłam bezpieczna, a on znów był moim przyjacielem.

Nagle sobie uświadomiłam, że to było wieki temu: dawno i nieprawda. Już nikt mnie nie obroni, na polu walki zostałam sama. Wszystko zmieniło się po śmierci babci. To wtedy dziadek zaczął się od nas oddalać, stał się niemiły i gruboskórny. Za jej życia nie było takiej

rzeczy, która mogłaby w nim zabić chęć walki. To dziadek z babcią zajęli się nami, gdy nasi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Stworzyli nam dom pełen ciepła...

Nie ma co wylewać łez. To, co dobre i piękne, trwa krótko. Zawsze tak jest.